

POLSKA NASZ KRAJ...

Droga Rodzinko!

Carmaux, dnia 10 sierpnia 1966

Tatusz szczęśliwie przyjechał. Ponieważ chwycił trochę przeciagu w podróż — boli go lewe ucho i jeden ząb. Nic groźnego, nie martwcie się. Jak Wam opisać tatusia radość, uciechę, wzruszenia odczute, to nie ma słów i trudno mi Wam to wytłumaczyć. Taki zadowolony ze swego pobytu w Polsce, ze wszystkiego, z Was wszystkich, że nie wiem, jak Wam podziękować. Co to opowiadać, co to wspomnieć, a za każdy raz łzy i nierzadko płacz radości (...) Dziękujemy Wam serdecznie za podarunki i za zdjęcie. Chciał Was teraz zamyć z fotografii. Życzymy Wam wszystkim dobrego zdrowia i serdecznie całujemy: córka — Beata (Béatrice), syn — Jerzy (Georges), żona Alfreda i ja

Czesław Janiak z Tatusiem

Gdyby Czesław Janiak — junior z Carmaux (Francja) miał właściwie pojęcie o kraju ojczystym swego rodzica, zapewne wybrałby się razem z nim do Polski. Bo chociaż zawsze interesowały go sprawy, dotyczące jego drugiej ojczyzny i czytał wszystko, co wpadło mu na ten temat w ręce, na podstawie poznanych opinii trudno mu było wyrobić sobie jakiś sprecyzowany pogląd. W jego wyobraźni utrwalił się raczej pewien stereotyp Polski — tej z ojcowskich opowiadań, z glinianymi chatami pod strzechą, miastami bez wodociągów i kanalizacji, demonstracjami bezrobotnych oraz tysiącami ludzi, szukających na obczyźnie pracy i chleba. Żywym przykładem tego obrazu był jego własny ojciec, który przybył z Turku do Francji jako analfabeta i nigdy już nie nauczył się pisać po polsku. Kiedy więc Janiak — senior zaproponował synowi wspólny wyjazd do Starego Kraju, spotkał się z odmową.

— Niech ojciec pojedzie najpierw sam i zobaczy jak tam jest.

Zbyt wiele słyszał i czytał w obu językach opinii mocno krytycznych o kraju rodzinnym swych przodków. Bał się, iż zobaczy Polskę taką, że może to podkopać jego wiarę w sens walki o lepszy, sprawiedliwy świat.

Toteż pisząc list do krewnych w Turku, informujący o wycieczce ojca do Polski, pypytywał ostrożnie: „Czy byłoby możliwe zatrzymanie się u Was tatusia przez parę dni?”

Stary Janiak postanowił bowiem za wszelką cenę odwiedzić rodzinne strony, które opuścił prawie 40 lat temu; przez długi czas nie dawał o sobie znaku życia. Ciężka praca górnika i codzienna walka o byt, nie pozostawiały miejsca na sentymenty. Poza tym nie umiał pisać. Dopie-

ro gdy dzieci mogły go w tym wyreczyć, doniósł najbliższym w kraju, że żyje, ma rodzinę i powodzi mu się nie najgorzej.

Podobno ludzie u schyłku życia odczuwają instynktowne pragnienie odwiedzenia rodzinnego gniazda, powrotu do miejsc dziecińczych zabaw i pierwszych miłosnych uniesień. W każdym razie pewnego lipcowego dnia stary Czesław Janiak — emerytowany górnik z Carmaux, znalazł się wśród grona polonijnych turystów, zdążających do starej ojczyzny.

Autokar zatrzymał się najpierw w Poznaniu, skąd część rozjechała się do swoich krewnych. Po Czesła-

Dokończenie na str. 2



Rys. Ewa Pruska

Refleksje z sali obrad

Gdy na trybunę X Wojewódzkiej Konferencji Sprawozdawczo-Wyborczej PZPR w Poznaniu wszedł Wiktor Mikielowski, rolnik z Polajewa i skrytykował nieudolny sposób odbioru plodów produkowanych przez rolnictwo, gdy mówił o biurokracji zmuszającej mieszkańców wsi do tracenia czasu w kilku kolejkach dla załatwienia jednej sprawy — spotkał się z powszechną aprobatą sali.

Gdy Jan Biesz, delegat z Jarocina skrytykował zjednoczenia wydające niewłaściwe polecenia przedsiębiorstwom, których dobrze nie znają — spotkał się z pełnym zrozumieniem swych postulatów. Żywo oklaskiwani byli również inni delegaci, którzy ostro krytykowali różne niedomagania w pracy zakładów przemysłowych i placówek usługowych służących wsi, a także takie nie mało ważne bolączki jak np. zła jakość towarów znajdujących się w sklepach.

Z nie mniejszym jednak zrozumieniem spotkali się i ci delegaci, którzy mówili o sukcesach, o zmianie krajobrazu Wielkopolski, o nowych zakładach pracy, o rozwoju wsi.

Nie był to brak konsekwencji. Obrady były odzwierciedleniem prawdy stanu obecnego na szczeblu regionu, tego co już osiągnięliśmy i tego, co nam jeszcze przeszkadza. Konferencja była i pod tym względem dobrą szkołą myślenia

Stara to prawda, że skuteczność działania zależy od tego, czy opiera się ona na poznaniu rzeczywistości, zarówno tego, co w niej dobre, jak i tego co złe. Wszelka jednostronność prowadzi na manowce. Zakładanie różowych okularów, dostrzeganie tylko tego, co napawać może otuchą, przeszkadza działaczowi w przewidywaniu przeszkód, jak bowiem ma je usuwać, jeśli ich nie dostrzeże. W rezultacie dochodzi do tego, co nazywa się w operującym skrótami języku polityka — oderwaniem się od mas. Mało tego; skuteczność w której tkwi, odwraca się od takiego działacza, nie znajdując u niego pomocy w usuwaniu bolączek.

Reakcje na to takich działaczy, kierowników, publicystów, pisarzy czy filozofów — bywają różne. Niekiedy bardzo proste: zmieniają okulary z różowych na czarne. Kiedyś przodowali w hurraoptymizmie i rzucali klątwy na tych, co dostrzegali kłody na drodze i nie chcieli wierzyć zamiast rozumieć, skądować zamiast myśleć i zamiast zebrać w akademie ku czci. Po zmianie okularów dostrzegają same tyl-

ko kłody i w dalszym ciągu niewiele rozumieją z tego, co się wokół nich dzieje.

Nie zamierzam tutaj wchodzić w intencje kierujące ludźmi widzącymi wszystko w czarnych barwach. Nie są to sprawy proste. Niekiedy, nie o przewrotne zamiary chodzi, lecz o brak orientacji. Nie zmienia to jednak istoty rzeczy; w każdym wypadku, niezależnie od intencji, postawa taka jest przeszkodą w zmienianiu świata. Przeszkadza w usuwaniu zła w stopniu nie mniejszym, niż postawa hurraoptymistyczna. Zasiewając bowiem pesymizm, zwłaszcza tam, gdzie nie jest on uzasadniony — nie można zebrać zapału do działania.

Przebieg Konferencji wykazał, że wielkopolska organizacja partyjna jest odporna na obydwie te niebezpieczeństwa, zarówno na hurraoptymizm, jak i na pesymizm. Jest ona rzecznikiem po prostu rzeczowych ocen.

Lesław Tokarski

DOROBIEK DYSKUSJI

Jednakże Konferencja Wojewódzka PZPR nie była i nie mogła być tylko odzwierciedleniem rzeczywistości. Celem jej było nie tylko ukazanie obecnego stanu Wielkopolski i zdanie sprawy z dwuletniej działalności wojewódzkiej organizacji partyjnej. Poszukiwała ona również przyczyn złych zjawisk oraz wysuwała wnioski i postulaty na przyszłość. Wniosków tych było mnóstwo, nie zamierzam ich wszystkich wymieniać, nie byłoby to zresztą tu możliwe. Można natomiast i warto zastanowić się nad ich myślą przewodnią.

Wszystkie wnioski, które w czasie Konferencji wysuwano sprowadzają się do wspólnego mianownika, jakim jest postulat umiejętnego łączenia problematyki gospodarczej z zadaniami natury politycznej i ideowo-wychowawczej. Już w zagajeniu dyskusji zwrócono uwagę na to, że „działalność gospodarczą nie wolno widzieć wyłącznie przez pryzmat wskaźników ekonomicznych” i że „łączenie zadań politycznych i ekonomicznych w praktycznej działalności partyjnej legło u podstaw naszych osiągnięć w minionej kaden-

cji, przyniosło nam przekroczenie planu produkcji towarowej przemysłu w 1965 r. o ponad 1 300 mln. złotych”.

Nie wszędzie jednak i nie zawsze umie się właściwie kojarzyć zadania w dziedzinie ekonomiki, spraw socjalnych, polityki i pracy ideowo-wychowawczej. Niemało jest jeszcze takich działaczy, którzy lekceważą sferę świadomości, postawę ideowo-moralną ludzi i ich poziom kulturalny. Co więcej, ci krótkowzroczni aktywiści nie doceniają nawet wpływu świadomości pracowników na wykonywanie zadań danego przedsiębiorstwa.

Występują w związku z tym tak istotne mankamenty, jak brak inwestycji socjalnych i kulturalnych oraz pracy kulturalno-oświatowej w rejonach intensywnie uprzemysławianych.

Tak więc w okresie gdy zaczyna się w danej miejscowości proces integrowania się nowo-
wwej społeczności i kształtowania podstawy pracowników, zwłaszcza młodzieży — środowisko jest poza sferą produkcji pozostawione samemu sobie. Gdy nastąpi już stabilizacja, gdy załoga nowego zakładu ma być poddana na nowe wpływy — bardzo trudno będzie zmieniać ugruntowane już, nie zawsze dobre nawyki. Brak inwestycji socjalnych i kulturalnych, często spowodowany jest niedostatkiem środków, ale niewątpliwie wpływ ma tu również lekceważenie roli świadomości pracowników.

O tych i podobnych problemach mówiono na Konferencji szereg, zarówno w zagajeniu, jak i w czasie dyskusji. Wyszło z niej jednocześnie generalny wniosek: podnieść na wyższy poziom pracę z kadrami, kształtować właściwą postawę aktywu, uczyć kojarzenia działalności gospodarczej, politycznej i ideowo-wychowawczej. Z naciskiem podkreślano, że jest to jednym z najważniejszych zadań organizacji partyjnych. Jest to najlepsza droga do dalszego wzrostu autorytetu wielkopolskiej organizacji partyjnej i zwiększenia skuteczności jej oddziaływania we wszystkich środowiskach.

GWIAZDKOWE OBYCZAJE

Tym życzeniem chciałbym rozpocząć gawędę o wielkopolskich zwyczajach gwiazdkowych. To wcale nie były jakieś życie. Wziąłem je od chłopów ze Staroleki w Poznaniu, gdzie po utarcu maku w donicy winni oni pobiec do sadu i drewnianą gałką (na pewno obłizaną!) bić w drzewa owocowe, odmawiając:

Miej ty tak
jak ten mak!

zeoy na przyszły rok miały tyle owoców, ile ziarenek mieści w sobie makówka.

A że na wstępie zatrzymaliśmy się przy zagrodzie, w sadzie, więc przy okazji kilka rad dla gospodarzy, dziewcząt i zło-dziei. Chcesz gospodarzu, żebyś sad dobrze obrodził, postaw w izbie pod stołem wigilijnym snopek i po spożyciu wieczerzy słomą z niego obwiąż trzykrotnie każde drzewko owocowe. Będą pod jesień jabłka urodziwe i liczne! Dziewczyna zaś, która koniecznie chce wyjść za mąż, powinna przed wieczerzą udać się za stodołę. Jeśli tam do niej dobiegnie szczełkanie psa, mrowienie wesołe. Radzę też zawołać trzykrotnie: labuś! labuś! la la la! Z której strony odezwie się echo, z tej przy-będzie (dawniej pieszko, dziś na motocyklu) kandydat na małżonka. I wróżebna recepta dla złodziei: pójść do cudzego sadu, łałamać gałęzi z każdego gatunku drzew. Jeśli to się uda, powodzenie złodziejskie na cały rok!

*

Dawniej, kiedy ludzie dysponowali „bo-żym zegarem” do wieczerzy należało zająć się chwilą pojawienia się pierwszej gwiazdy. Obecnie ten zwyczaj został zaniedbany. Bo jak rozpocząć ucztę, kiedy

niebo zasłonięte chmurami, gospodyni domu spóźnia się z przygotowaniem ryby, a tu na domiar złego piec gazowy lub elektryczny słabo grzeje?

Przepisowo przygotować należy 9. albo 12 potraw, to przecież liczby szczęśliwe. Przy stole powinna być parzysta liczba biesiadników. Jeśli jest nieparzysta, postawmy dodatkowe nakrycie. W przeciwnym przypadku ktoś bliski w ciągu roku umrze. A jeśli niedawno ktoś z grona rodzinnego ubył, także dla niego postawmy talerze. Niech duchowo zasiądzie z nami.

Zyczenia pierwszy składa ojciec. To wyjątkowa okazja do pokazania resztek patriarchatu w coraz bardziej umacniają-

Józef Pieprzyk

Miej ty tak jak ten mak!

czy się matriarchacie. Po spożyciu darów kuchennych tradycyjnie odbieramy podarunki spod choinki. Kto zaś jest orientacji angielskiej lub z rejonu wpływów szterlingowych, za przykładem niektórych poznaniaków, powinien na suficie zawiesić „jemiołę, pod którą każda z każdym i każdy z każdą może się dowoli całować.

Nie wolno zapominać o inwentarzu gospodarskim. Najedli się ludzie, niech najeżdżą się i zwierzęta. Po trzy tygodnie z każdej wigilijnej potrawy! Ale potem nie radzę zaglądać do obór, stajni i chlewów, gdyż o północy zwierzęta ludzkim głosem obgadują swoich „żarciodawców”. Legendy mówią, że ktoś dowiedział się prawdy o sobie zmarł z przerażenia.

O gwiazdorzach krótko wspomnę. Wy-parli oni „świętych Józefów” (w południowej Wielkopolsce). Początkowo egza-minowali dzieci z nauki religii, teraz więcej zważają na postępy w szkole. W ostatnich latach niektórzy rodzice chcieli uniknąć straszenia dzieci tym gościem. Ale dzieci zaoponowały. Nie bez powodu. Toć przecież emocja, okazja do rozsztyrowania przebrańca i do otrzymania dodatkowych darów.

*

Dawne zwyczaje gwiazdkowe miały swoją moc wierzeniową. Teraz ta moc się rozwinęła, ale zwyczaje — ulegając pewnym zmianom — zachowały się jako

piero pod koniec IV i na początku V wieku powszechnie przeniesiono je na 25 grudnia i rożnięto na okres do 6 stycznia. Chrześcijaństwo swój kalendarz świąteczny oparło przeciw na kalendarzu pogańskim.

I w zakresie zwyczajów — pożyczki. Choinka — niemiecka, jemioła — angielska, gwiazdory — także obce. Nasze polskie — to pełna demokracja przy wieczerzy wigilijnej i wzajemna (raz w roku — murowana!) życzliwość. Dużą rolę spełnia tu przesąd, że jaki dzień wigilijny, taki cały następny rok. Przesąd wyjątkowo udany i godny poparcia.



Rys. Ludomir Kapczyński

Wietnamie zaległa cisza*). Z inicjatywy Narodowego Frontu Wyzwolenia Wietnamu południowego, po długim zwlekaniu ze strony Waszyngtonu, doszło do ustanowienia rozejmu na czas świąt Bożego Narodzenia oraz Nowego Roku. Biały Dom — jak zgodnie stwierdzają komentatorzy polityczni — ugiął się pod presją opinii publicznej świata.

Dla każdego myślącego człowieka jest oczywiste, że po pierwsze, owe dwa oddzielne rozejmy mogłyby zostać połączone i, po drugie, że takie przedłużone zawieszenie broni być może stworzyłoby oparcie dla ewentualnych rozmów pomiędzy obu stronami. Tymczasem święta nadeszły, a nic nie wskazuje, by wypadki takie właśnie miały przybrać obrót. Przeciwnie, szereg barbarzyńskich nalołów amerykańskich na stolicę Demokratycznej Republiki Wietnamu — Hanoi, w okresie poprzedzającym święta, zdaje się wskazywać, iż rząd Stanów Zjednoczonych dokonał dalszego kroku na drodze eskalacji.

Naloty na Hanoi, które poruszyły opinię publiczną świata i spowodowały oficjalne protesty szeregu rządów (w tym polskiego), a także ostre oświadczenie sekretarza generalnego ONZ, U Thanta — stały się wydarzeniem nader ważkim. Powszechnie uważa się, że zaatakowanie centrum stolicy DRW przez siły lotnicze USA, to przejaw działalności „jastrzębi” w administracji amerykańskiej; nie chcą oni wygaszania agresji w Wietnamie, na rękę jest im zatem twarde stanowisko Ho Chi Minha oraz kierownictwa NFW. A z takim stanowiskiem po nalołach na dzielnicę mieszkaniową północnowietnamskiej stolicy trzeba się tym bardziej liczyć. Naloty te wywołały przecież wśród ludności wzburzenie.

A więc — po krótkotrwałym rozejmie — dalsza eskalacja agresywnych działań sił zbrojnych USA? Nie ma co do tego pełnej jasności. Nie ulega natomiast wątpliwości, że Johnson, w związku z nadchodzącymi w roku

1968 wyborami prezydenckimi, zmuszony jest szukać jakiegoś rozstrzygnięcia konfliktu wietnamskiego. Pentagon i koła wojskowe USA sugerują oczywiście zintensyfikowanie działań wojennych. Nie można jednak wykluczyć, iż Biały Dom podejmie wreszcie jakieś inne niż głoślowe deklaracje, kroki, by przerwać brudną wojnę na Półwyspie Indochińskim.

Dwa lata miną w lutym od czasu, gdy amerykańskie lotnictwo podjęło, gwałcąc brutalnie normy prawa międzynarodowego, codzienne ataki powietrzne na terytorium DRW. W tym czasie Pentagon uczynił z obszaru Wietnamu północnego i południowego krwawy poligon.

Piotr Życki

W WIETNAMIE - SPOKÓJ

Siły US Army liczą obecnie (łącznie z najemnikami południowokoreańskimi, nowozelandzkimi i australijskimi) w Wietnamie południowym 430 000 ludzi.

Rząd Stanów Zjednoczonych nie zaważał się przed zastosowaniem przeciwko DRW i państwu NFW najnowszej techniki wojennej. Pojawiają się więc co dnia nad wioskami i wietnamską dżunglą, ośmiolinkowe bombowce odrzutowe B-52, zdolne udźwignąć do 30 ton bomb każdy. Śmigłowce, wprowadzone na wielką skalę, pełnią rolę autobusów śmierci. Używa się bez skrupułów napalmu i rozmaitych środków chemicznych: trujących inwentarzy, niszczących zasiewy, pozbawiających dżunglę liści, gazów łzawiących. Każdy Wietnamczyk wie, co to są „leniwe psy” — bomby eksplodujące w pewnym czasie po ich zrzuconiu. Nie brak i takich, które

wbijają się na 5 metrów w ziemię i wówczas dopiero wybuchają. Ostatnio Amerykanie zastosowali w akcjach pacyfikacyjnych przeciwko partyzantom ostatni krzyk techniki: poduszki.

Zintensyfikowała swą działalność marynarka wojenna Stanów Zjednoczonych. Jednostki VII floty, nie szukając pretekstów, atakują obecnie łodzie, barki i kutry północnowietnamskiej żeglugi przybrzeżnej, bądź ostrzeliwują domniemane pozycje artylerii nadbrzeżnej DRW.

Pastwą bomb w czasie niezliczonych — by użyć oficjalnej nomenklatury Pentagonu — „misji” — lotniczych nad terytorium DRW, padło dotychczas 100 świątyń katolickich, buddyjskich i innych wyznań, liczne szpitale

i szkoły, w tym także szkoła — dar narodu polskiego dla narodu wietnamskiego.

Amerykański tygodnik „Time” (wydanie z 2 XII) obliczył, że ilość amunicji lotniczej, a więc wystrzelonych rakiet, pocisków i zrzuconych bomb, użytej w toku agresji na DRW i Wietnam południowy — osiągnęła już poziom zużycia w czasie II wojny światowej. To samo czasopismo ocenia wydatki amerykańskie na wojnę w Wietnamie na 2 miliardy dolarów miesięcznie.

Cele, jakie wytyczył sobie Pentagon, realizując bezprzykładną w dziejach „krucjatę” militarnego kolosa przeciwko zmęczonemu kilkunastoletnią walką o wolność, ubogiemu narodowi — są aż nadto oczywiste. Biały Dom postanowił zgnieść opór Demokratycznego Wietnamu, zmusić Hanoi do zaniechania udzielania pomocy patriotom z Frontu Wy-

zwolenia Wietnamu południowego. Specje z Pentagonu pragną doprowadzić do odseparowania Vietcongu i następnie zniszczenia jego sił. Być może, iż roi się im ponadto rodzaj odezwy ze strony Hanoi, która by sugerowała partyzantom południowowietnamskim kapitulację.

I oto po bezmała dwu latach trwającej agresji amerykańskiej (mamy na myśli okres pełnego „rozkreślenia” działań wojennych), w gruncie rzeczy Waszyngton nie może mówić o żadnych poważniejszych sukcesach. Aktualną sytuację ocenił naczelny dowódca Armii Ludowej DRW, gen Vo Nguyen Giap, następująco**):

„Rozpatrując sytuację z punktu widzenia formalnej logiki agresora amerykańskiego, należałoby dojść do wniosku, że już obecnie potęga USA powinna pokonać nasz opór. Dlaczego jednak nie osiągnięto celu? Dlatego, że naród wietnamski dysponuje również siłą, a Amerykanie mają równie słabość”.

Ostatni okres, jak już wspomnieliśmy, charakteryzuje wzmocnienie się presji na Waszyngton, by zaprzestał trwałego bombardowania DRW, by przedłużono rozejm. Z apelami tej treści pod adresem Białego Domu wystąpili papież Paweł VI i U Thant. Domagają się tego narody całej kuli ziemskiej, w tym nie mała część narodu amerykańskiego.

Emmet John Hughes, na łamach wydawanego w USA tygodnika „Newsweek”, 14 listopada br. napisał: „Johnson przebył trasę tysięcy mil, aby powiedzieć swoim żołnierzom: „Wracajcie jako zwycięzcy”. Nie potrzebuje on opuszczać swego biura w Białym Domu, aby powiedzieć to, co trzeba będzie wkrótce powiedzieć: „Nie będzie żadnego zwycięstwa”.

Czy przeżyty głos wybitnego amerykańskiego publicysty uturjuje sobie drogę do klasycznych umysłów ludzi z Pentagonu?

*) Tak przynajmniej zapowiadały postanowienia rozejmowe.

**) Relację swego specjalnego wysłannika z rozmowy z generałem zamieścił 8 bm. paryski „Le Monde”.

Eugeniusz Cofa

Po sztucznej nitce

Toruńska „Elana” dzisiaj

Białe pasma, szerokości tasiemki, wychodzą z olbrzymich, metalowych kadzi, rozstawionych dziesiątkami sztuk w jednym z kątów obszernej hali. Pasma pną się gdzieś pod sufit, by — prowadzone specjalnymi rolkami — zginać wreszcie we wnętrzu maszyny. „Tasiemka” przechodzi tu przez szereg wałków i znów wędruje dalej. Tym razem kolejny agregat zbiera po kilka pasem, łączy je i... karbuje. W ten sposób włókno ma już za sobą rozciąganie, hartowanie i proces upodobniania go do wełny.

Wyjąłem jedno z postrzępionych pasem ze skrzyni oznaczonej napisem „odpady”. Próbowałem rozzerwać. Pojedyncze nitki zrywały się dość łatwo, całe pasmo — ani drgnęło przy wielokrotnych próbach.

Kiedy zwiadałem jedną z olbrzymich hal produkcyjnych, widną i przestronną, mimo woli dokonałem dwu odkryć: znikomą liczbę pracowników oraz — tak mi się wydawało — ich „obojętność” dla całego procesu produkcyjnego. Ludzie w białych, czystych fartuchach, siedzieli przy specjalnych pulpach dyspozytorskich, bądź wolnym krokiem spacerowali po sali. Czasami któryś z pracowników stawał przy jednej z maszyn, coś tam skontrolował i znów odchodził.

Zakład na wskroś nowoczesny, gdzie ludzki trud przerzucono na maszyny, zegary i inne urządzenia...

Miejsce za 323.000 zł

„Elana” w Toruniu powstała za ledwie przed trzema laty. W grudniu 1963 roku nastąpił jej próbny rozruch. Planowa produkcja ruszyła w styczniu następnego roku. Zakład, dziś już prawie zupełnie gotowy w części budowlanej, powstał na toruńskich polach w efekcie zakupu licencji angielskiego koncernu I.C.I. W pierwszym etapie budowy wydano na tę inwestycję około 900 mln. zł. Drugi stopień, związany raczej z rozbudową poszczególnych działów, pochłonie w ciągu trzech lat ponad miliard.

Większość już pracujących w „Elanie” maszyn sprowadzono z zagranicy, głównie z firmy, która sprzedała nam licencję. Nie brak jednak urządzeń pochodzących z innych krajów. Są też agregaty krajowe, których coraz więcej montuje się w halach „Elany”. Nasz przemysł szybko opanował skomplikowaną technologię i dzisiaj sam dostarcza toruńskiemu zakładowi maszyn, potrzebnych do wyposażenia wybudowanych już hal produkcyjnych. Proces rozszerzania bazy

produkcyjnej, a co za tym idzie możliwości wytwórczych fabryki, ma trwać do końca obecnej 5-latk.

Przechodząc przez hale „Elany” nietrudno zauważyć, że większość włożonych w tę inwestycję kapitałów przeznaczono na precyzyjne maszyny i urządzenia.

Przemysł chemiczny, a do niego należy „Elana”, jest bardzo kapitałochłonny. Przy głównym wejściu do części produkcyjnej ustawiono świetnie pomyślaną tablicę: „...jedno miejsce pracy kosztuje 323.000 zł. Szanuj Swoją Zakład!”

To przemawia i do wyobraźni, i do świadomości każdego pracownika lepiej niż abstrakcyjne miliony czy tym bardziej miliardy. To uczy cenić i doceniać wysiłek społeczny dla dobra jednostki. To uczy wreszcie szacunku dla wspólnej własności.

Ekspresowa akumulacja

Nakłady włożone w budowę „Elany” zwróciły się po półtorarocznej eksploatacji zakładu. Tak szybka akumulacja jest możliwa chyba tylko przy szybkim osiągnięciu wyznaczonych wskaźników produkcji oraz przy korzystnej cenie zbytu wyprodukowanego półfabrykatu (Toruńska „Elana” nie produkuje tkanin. Ogranicza się tylko do wytwarzania przędzy, którą z kolei otrzymuje przemysł lekki. Dopiero on wyrabia z niej tkaniny, których coraz szerszą gamę jakości i kolorów oglądamy w sklepach tekstylnych).

„Elana” produkuje już rocznie 8300 ton przędzy. Z tej ilości wiele set ton przeznaczonych jest na eksport i to do krajów zachodnich. Polskie włókno wędruje do Francji, Szwajcarii, a także do kraju, który sprzedał nam licencję — Wielkiej Brytanii. Równocześnie jednak w pełni pokrywane jest zapotrzebowanie krajowego przemysłu włókienniczego.

Potentat

Wśród krajów socjalistycznych Polska przoduje, produkujemy bowiem — jako jedyny kraj naszego obozu — wszystkie trzy rodzaje włókien chemicznych, zwanych sztucznymi: nylon, elanę i anilanę. Inni z naszych sąsiadów mogą się pochwalić wytwarzaniem jednego z nich, najwyżej dwu.

Krajowy przemysł bardzo chwali „Elanę”, której ponad 90 procent produkcji otrzymuje nomenklaturę I gatunku. Stopień jakości w przemyśle chemicznym osiągnął bardzo rzadko!

Alé potentatem w swym dziale produkcji stanie się toruński zakład dopiero w roku 1970. Do tego okresu roczna produkcja włókien osiągnie wysokość 23.000 ton. Pozwoli to na znaczne zwiększenie zaopatrzenia fabryk krajowych, wzrost eksportu, a także na uruchomienie nowego działu. „Elana” ma bowiem przystąpić do wytwarzania jedwabiu poliestrowego. Ten rodzaj chemicznego włókna pozwoli uruchomić w kraju produkcję firanek, namiotów, tkanin na żagle, zatem — materiałów bardzo odpornych na działanie słońca, czego nie można powiedzieć np. o nylonie.

Produkcja jedwabiu poliestrowego ma ruszyć w przyszłym roku. Pod koniec obecnej 5-latk „Elana” dać już będzie przemysłowi 6000 ton tego włókna rocznie.

1900 pracowników ma „Elana”. Kierownictwo zakładów bardzo wysoko ocenia zawodowe walory załogi i jej przygotowanie do skomplikowanych procesów produkcyjnych. W „Elanie” na każdego pracownika produkcji przypada 2,5 rzemieślnika. Świadczy to o stopniu zmechanizowania produkcji, o nowoczesności technologii.

Dobre zaplecze

Ponoć nie było kłopotów z pozyskaniem wysoko kwalifikowanych kadr do nowej „Elany”. Z początku trzeba było sprowadzić fachowców z różnych „chemicznych” rejonów kraju. Później, i to bardzo szybko, okazało się, że zakład może liczyć na pomoc Uniwersytetu im. Kopernika, a także wyższych uczelni Gdańska i Szczecina. Niższy personel techniczny przybywa do „Elany” chętnie z 11 toruńskich szkół zawodowych i techników o profilu nauczania zbliżonym do potrzeb tego zakładu. Kierownictwo „Elany” ma tylko jeden problem — przy tak młodej załodze nie zawsze da się wybrać ludzi na stanowiska mistrzów. Ostatecznie funkcją to odpowiedzialna. Nie wystarczą tutaj tylko wiadomości fachowe. Potrzeba również umiejętności współzycia z ludźmi, rozumienia szeregu problemów, jakże często bardzo złożonych. A tego od młodego człowieka wymagać nie można.

„Elana” wyrosła niemal jak „deus ex machina”. W podobnie szybkim tempie jej sztuczna nitka tworzy wielki, biały kłębek cennej przędzy. Ów kłębek to symbol naszej nowej chemii, która zdobywa nie tylko nasz rynek.

Lidia Janakowa

Wśród leśnej ciszy...

Matylda Choina nie była babą na schwał, o której się mówi, że gdzie diabeł nie może... Figurkę miała filigranową, rysy twarzy drobne, tylko jej zielone, marzące oczy, były ogromne. Toteż przyciągały każdego, kto na nią spojrzał. Nic też dziwnego, że gdy przystąpiła do partyzantów, kręciło się koło niej wielu chłopców, a nawet starszych mężczyzn, mimo że liczyła dopiero 19 lat. Już ponad pół roku przebywała Matylda jako siostra chirurgiczna w oddziale, lecz nikt nie mógł zdobyć jej względów. Najczęściej udawała, że nie spostrzegła wymownych spojrzeń, a niekiedy mówiła natrętom wprost, — zaczekajmy aż wojna się skończy, nie czas teraz myśleć o romansach. A wojna toczyła się dalej nieprzerwanie od dwóch lat. Daleko, na wschód przetoczył się front, walka na śmierć

POLSKA NASZ KRAJ...

Dokończenie ze str. 1

wa Janiaka zgłosiła się rodzina z Turku i okolicy.

Trudno się dziwić wzruszeniom człowieka, który po tylu latach znalazł się w rodzinnym gnieździe. Złaził, że to gniazdo niewiele przypominało miasto jego młodości.

Alé też Janiak nie chodził zbyt długo dawnymi śladami. Interesowało go przede wszystkim to, co nowe. Przywykł do wielkoprzemysłowego pejzażu radował się dymiącymi kominami i wieżami elektrowni, oglądał wrebiarki i zwałowarki, wędrował wzdłuż taśm transporterów na terenach kopalnianych, nie mogąc się im napatrzyć.

— Ludzie kochani! to przecież więcej niż Francja! — powtarzał.

22 lipca Czesław Janiak — zgodnie z programem wycieczki — znalazł się w Warszawie na uroczystościach święta Odrodzenia i defiladzie Tyśiąclecia. Historia ojczysta była dotychczas dla starego emigranta czymś mglistym i nieznanym. Trudne życie nie dało mu zbyt wiele okazji poznania tradycji naszych walk o wolność i postęp; niewiele wiedział o koryfeuszach polskiej nauki, kultury, literatury. I oto teraz historia Polski objawiła mu się w całym

swym kolorycie i bogactwie. Wysła mu naprzeciw w postaci wojów Chrobrego, zwycięzców spod Grunwaldu, skrzydlatych jeźdźców na spasionych koniach, żołnierzy powstań narodowych, tragicznych bohaterów wrześnie wojny epopei, wreszcie zdobywców Berlina. A potem zobaczył jeszcze zbrojne ramię strzegące granic Rzeczypospolitej.

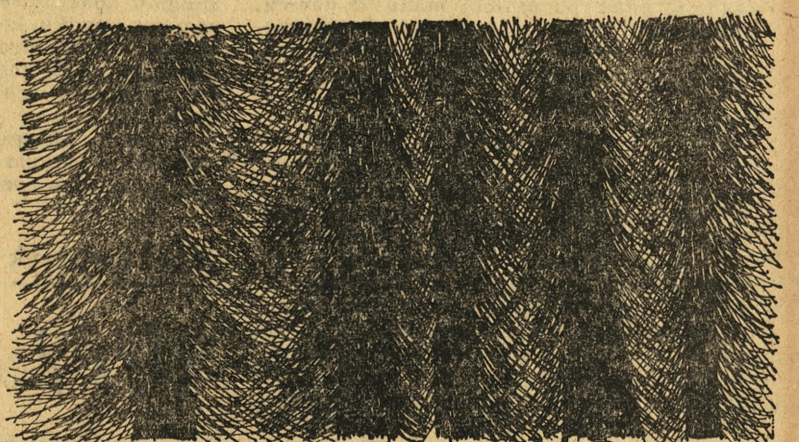
Towarzyszący Janiakowi krewniak opowiada, że wujek płakał, jak bób i nawet nie próbował tego ukrywać. Po powrocie z Warszawy powtarzał ciągle, że to wprost nie do wiary, iż naród tak biedny, jakim go pamięta, wyniszczony w dodatku wojną, potrafił odbudować ponad milionową stolicę, kilkuset tysięcy miast, mnóstwo miast pomniejszych, wznosić nowe fabryki, kopalnie, huty, elektrownie, tysiące domów i szkół. Gdy więc ktoś z krewnych próbował narzekać na coś tam w kraju, porównywał z Francją wysokość płac, ceny towarów lub liczbę samochodów — zapalał się gniewem:

— Ludzie, sami nie wiecie, co paśiadacie i czego chcecie! — po czym dodawał: — Gdyby nie dzieci i wnuki, wróciłbym tu na kolanach, by złożyć swe kości w ojczyźnie ziemi.

A potem już z Carmaux pisał ręką swego syna:

„Jestem teraz bardzo zadowolony, że prawie wszyscy macie dobrą sytuację i biedy nie znacie. Mieszkacie w ładnych okolicach i że POLSKA, nasz kraj, jest bardzo piękna.”

Zebral: JERZY WRZOSKO



Rys. Ewa Pruska

wiedzieli. Wróg nie dawał im przecież wytchnienia. Dowództwo jednak postanowiło przetrwać tak zime.

Matylda razem z chorymi i rannymi dostała najcieplejszą ziemiankę. O to zresztą zabiegał dowódca pododdziału Franek Zimnowoda, któremu podlegała sanitarna jednostka. Matylda była z tego zadowolona, bo chociaż przynależała przed sobą, że to o rannych Franek się troszczył, miło było jej pomyśleć, że zrobił to i dla niej. W skrytości swoich marzeń, często wracała myślą do Fran-